

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

Obaj Givreuse'owie oczekiwali tego poznania niecierpliwie.

Prawie jednocześnie sprowadzono ich do gabinetu doktora. Zajrzeli sobie głęboko w oczy. Piersi wznosiły się oddechem. Oczy ich, znużone jeszcze trochę, zapłonęły ogniem, rozjaśniły się radością.

Wzruszenie ich wydawało się nadzwyczajnym, ale nie miało w sobie nic przyniatającego. Przeciwnie przypominało jakąś ekstazę.

Żywiolowo połączyły się w uścisku ich ręce.

— Więc panowie znacie się? — zapytała Ludwika de Bréhannes.

Jednocześnie odpowiedzieli:

— Nie widzieliśmy się jeszcze nigdy.. a jednak!

— Któryż z was dwóch jest Edwardem Henrykiem Piotrem de Givreuse, urodzonym w Avranches w roku 1880? — rzucił gorączkowo pytanie doktor Formental.

— To ja jestem! — brzmiała odpowiedź z dwójga ust.

Zdawało się, że dopiero teraz zdziwili się trochę.

— Jest rzeczą pewną, że tylko jeden z was odjechał na front z pułkiem nr. *.*.

Ponieważ obaj przyznawali się razem, Djana włączyła się do rozmowy.

— Dokąd przybył pan najpierw? — zwróciła się do pierwszego Piotra Givreuse.

— Do Montargis. Przyjechałem rano! — odpowiedział.

— Olbrzymia kolumna żołnierzy maszerowała w stronę koszar! — uzupełnił drugi.

— Entuzjazm był szalony...

Urwali. Całe zachowanie ich nacechowane było wzmożonym niepokojem, ale także i gorącą sympatią.

— Czy pan wyjechał z Avranches? — pytała Ludwika.

— Tak jest! — odpowiedzieli obaj równocześnie.

Następnie znowu razem odpowiadali dalej.

— Zatrzymałem się w Paryżu.

— W hotelu?

— Nie, w moim własnym mieszkaniu.

— Poczekajcie panowie! — rzekł dr. Formental — Będzie lepiej, jeżeli będziecie odpowiadali po kolei. Ja będę zadawał pytania. Gdzie pan mieszka w Paryżu?

— Ulica Cimarosa nr. 15.

— Na którym piętrze?

— Moja matka i ja zajmujemy cały dom.

— Gdzie pan jadł obiad os a niego wieczora?

— W domu.

— W jaki sposób dostał się pan na dworzec?

— Pojechałem dorożką konną, ponieważ nie było samochodu.

— Czy nie zachował pan w pamięci z czasu swego pobytu w Paryżu jakiego charakterystycznego wspomnienia?

— Owszem. Dostałem od dwóch młodych kobiet kwiaty.

Doktor zadawał pytania ściśle po kolei, zwracając się to do jednego, to do drugiego.

— Cóż? Czy jesteście w zgodzie? — zakończył wreszcie drżącym nieco głosem.

— Tak jest.

To samo drżenie udzieliło się i innym świadkom tej dziwnej rozmowy. Obaj żołnierze byli prawie zupełnie spokojni.

— A więc! — krzyknął rozgorączkowany dr. Formental — Cóż pan myślisz o tej całej historii?

Ten, ku któremu zwrócił się, odparł:

— Powinnaby mnie zmieszać i przerażać...

Tymczasem przeciwnie, harmonizuje ona w dziwny sposób z tem czemś tajemniczym, co jest teraz we mnie. Nie potrafię wyjaśnić tego dokładnie... Nie wiem, w jaki sposób i dlaczego, czuję jednak głęboko, że jakiś wypadek niezwykle przeciął jedność mojego istnienia... Jakaś częśćka mojej osobowości jest poza mną!

Tamten słuchał, w ten sposób, jak się słucha echa własnego głosu. I rzekł:

— Jakaś częśćka mojej istoty jest w tobie!

Doktor wyciągnął zegarek z kieszeni i stwierdził, że konfrontacja przeciągnęła się już i tak zbyt długo.

— Mam nadzieję, że nie zmęczyliście się zbyt długo? — zapytał.

Ranni uśmiechnęli się obaj.

— Przeciwnie, wypoczęliśmy... Czujemy się daleko silniejsi i więcej rzeźwi.

— A jednak — odparł trwożnie dr. Formental — ta rozmowa wasza nie może ciągnąć się dłużej.

Opuścili głowy. Młodszy lekarz nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Natychmiast pojawiło się dwóch sanitariuszów, którzy zabrali jednego z rannych.

Upłynęło pół minuty.

— Ach! — westchnął tamten pozostały.

I głosem przygasłym zaszeptał:

— Ach! to znudzenie!.. Przedtem zniknęło zupełnie... A teraz spada znowu na mnie, jak głaz... Wszystko się oddala, przesłania mgłą... ginie w mroku...

Mogłoby się zdawać, że z nalał, zeszczipał. Wzrok miał szklany; tragiczna bladeść powleka policzki.

Dodał jeszcze:

— On zabrał ze sobą moje siły... Doktorze! Nie pozostawiaj mnie bez tamtego! Teraz wiem już: bez niego życie moje jest jakimś ułamkiem.

— Byłam tego pewną! — zaszemrała Djana Montmaure.

Drzwi otwarły się. Młodszy lekarz, który towarzyszył rannemu, wszedł spiesźnie.

— On się żali... Powiada, że bez tego... sobowtóra traci energię do życia i że... cierpi.

Dr. Formental przesłonił dłonią oczy. Wargi lekarza poruszały się, ale wydobywał się z nich tylko jakiś szepit niezrozumiały. W końcu rzekł:

— Musimy zadość uczynić ich życzeniom. Oni lepiej wiedzą, czego im potrzeba.

Ludwika de Bréhannes szepnęła:

— Nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

ROZDZIAŁ V.

Augustyn de Rougeterre odpoczywał w swoim ogrodzie pod ulubionym dębem. Ten dąb pamiętał jeszcze czasy królów, przeżył pierwszą republikę i cesarstwo. Miał siedemset lat. Wydrążenia w jego pniu podobne były do jakichś czeluści, kora przypominała skórę starego nosorożca. Dwadzieścia gałęzi, grubych niby pnie, dawało życie miryadom liści.

Hrabia Augustyn był niezmiernie przywiązany do tego drzewa.

W nocy, rozszalała burzą, zdawało mu się, że słyszy chrzęst zbroj rycerzy, zdążających z giermkami swymi do boju, albo granie starodawnych rogów.

Hrabia de Rougeterre był to człowiek żołciowy, małomówny i bardzo pobożny. Wojna nie była mu obcą. Walczył w lasach dziewiczych, następach Ameryki, wśród bagien i pośród skał.

W sierpniu, kiedy zamierzał znowu chwycić za oręż, wytrąciły mu go z ręki dolegliwości fizyczne.

Teraz o zmierzchu marzył. „Temps” i „Les Debats” leżały u stóp jego na ziemi.

Od dnia 20 sierpnia aż do bitwy nad Marną umierał prawie z nienawiści i wściekłego gniewu. Później zaczęły na promiennych skrzydłach legendy przybywać nowe wieści.

Tego wieczora hrabia Augustyn był melancholijny i jednocześnie rozplomieniony tak, jak te obłoki z ognia i dymu, które przesłaniały umierające słońce.

Nie rozumiał tej wojny. Okryta była dla niego jakąś szkaradną mgłą. Zapędzała bohaterów do jam podziemnych. Wyłaniała nieprzyjaciół bardziej zaciętych aniżeli murzyni Niam-Niam i Płaskie Głowy.

„Temps” przynosił pomyślny komunikat. Augustyn de Rougeterre zrobił znak krzyża na czole i piersiach i jał szeptać cicho: „O Panie! okaż twój gniew... zwróć moc i potęgę Twoją przeciw nieprzyjaciółom naszym... Niechże to zło, które spełnili, zwróci się przeciw nim samym, niechże czyn niesprawiedliwy spadnie na ich głowy!...”

Złożył ręce pobożnie. Wspomnienia jego młodości łączyły się z słowami modlitwy w jedno.

Potem wyciągnął list jakiś z kieszeni i przeczytał go uważnie.

— Co to ma znaczyć? Czy Piotr zwaryował? Albo może pisał do mnie w malignie?

Usiadł na ławce z porfiru i zapadł znowu w zadumę. Cienie zmierzchu padały powoli wśród gałęzi dębu.

Ukazał się służący. Trzymał w ręku bilet wizytowy.

— Dobrze. Ide zaraz.

Hrabia Augustyn dźwignął się z ławki i po- dażył do pałacu.

Dwaj żołnierze czekali na niego w małym salonie.

Drgnął gwałtownie, poczem z oczyma utkwionymi w przybyłych stanął jak skamieniały. Obaj goście zdawali się być dokładnym odbiciem jednego człowieka, a tym człowiekiem był Piotr de Givreuse.

Ciałem starca wstrząsnął jakiś dreszcz prze- rażenia. Głuchym głosem zapytał:

— Któryż z was dwóch jest moim siostrzeńcem?

Młodzi żołnierze spjrżeli po sobie. Jeden z nich odrzekł:

— Obaj sądzymy, że jesteśmy Piotrem de Givreuse.

Hrabia aż podskoczył. Zdumiony był do osłupienia, ale zaczynał go także chwytać gniew.

— Czy to jest mistyfikacja? — krzyknął. — Złą zaiste wybrałście chwilę!

Niestety!.. To jest najgłębsza, najczystsza prawda — powiedział ten, który milczał dotychczas.

Głosy ich miały jednakowe brzmienie, jak twarze jednakowe rysy.

Nagły lęk ogarnął hrabiego Rougeterre. Na skroniach wystąpiły mu krople potu.

Nie wiedział w tej chwili ani co myśleć, ani w co wierzyć.

— Zatem — rzekł — każdy z was wyobraża sobie, że jest Piotrem de Givreuse. Ale chyba, równie jak ja, nie wątpicie o tem, że jeden z was jest ofiarą jakiegoś niezwykłego, niezrozumiałego złudzenia.

Milczeli, opuściwszy głowy ku piersiom.

— To jest niemożliwe, abyście o tem wątpii! — nastawał hrabia Augustyn, z trwogą i oburzeniem.

Ten, który zaczął mówić pierwszy, rzekł bardzo cicho:

— A jednak wątpimy!

Ta odpowiedź doprowadziła starca poprosiu do rozpacz.

— Wątpić można o wszystkim, oprócz o Świętem Słowie Objawienia. Nie można wątpić o jedności jakiejś istoty!.. Czy was jest dwóch? Nie przeczycie chyba, że was jest dwóch!

Drżał cały ze wzruszenia, z zewnętrznego buntu i mistycznej trwogi.

— Zdaje się nam, że jest nas dwóch, ale nie jesteśmy tego pewni!

Rougeterre milczał długą chwilę, spoglądając dziko i błędnie. Wargi zbierały mu, policzki drgały nerwowo.

— Jeżeli to ma być próba, to zlituj się o Boże nademną! Nie pozostawiaj mnie w sidłach tego, który nas kusi od czasu stworzenia pierwszej kobiety!

Przesunął ręką po twarzy. Odzyskawszy trochę zimnej krwi, rzekł:

— We wszystkim, nawet w rzeczach nadprzyrodzonych jest logika. Jeżeli umysły wasze nie są zaćmione, to musicie zdawać sobie sprawę, że jesteście dwoma odrębnymi osobnikami.

— My to widzimy — odparł ten, który stał nieco dalej od hrabiego — że jest nas dwóch. Ale wiemy i to, że całe nasze ubiegłe życie jest nam wspólne. Rozmawialiśmy długo. Każde z naszych wspomnień zgadza się, każde bez wyjątku aż do chwili, kiedy obudziliśmy się z omdlenia w polowym szpitalu... Pytaj nas więc każdego z osobna o wspomnienia z lat dziecinnych i młodzieńczych. Przekonasz się, tak samo jak i my przekonaliśmy się, że nic z tego, co przeżył i zaznał jeden, nie jest obcem i nieznanem dla drugiego. Nic absolutnie! Rozdzielenie trwa dopiero od kilku tygodni. Oczywiście odnośnie do wszystkiego co się działo w Viornes i w Cavresi podczas naszej wspólnej podróży, to stanowimy dwie odrębne osoby, z pewnem jednakowoz zastrzeżeniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).